

Od autora: To szósta i zarazem ostatnia miniatura w tym miłosnym cyklu.

Dokąd prowadzi miłość, dokąd prowadzi nienawiść.

Czy to się kiedyś kończy?

Czy można zmienić własne życie tak, by odciąć się od "korzeni"?

Czy można wybaczyć?

O tym dowiecie się, czytając tę miniaturę.

Tytuł zapożyczyłem z piosenki Cocteau Twins.

Zapraszam do wspólnej zabawy :)

- Znów używałeś mojej szczoteczki do zębów? – krzyknął Ben, jakby miał zaraz rzucić mi się do gardła.
 - No, bo moją wciąło i już jej pewnie nie zobaczymy – zażartowałem głupkowato.
 - Ty nie jesteś normalny.
 - To samo chciałem powiedzieć o tobie: czego bym nie zrobił, masz jakieś „ale”.
- Weź się, facet, opanuj, albo znajdź sobie panienkę, żeby spuścić z pary - rzuciłem na luzie.
- Kiedyś cię zabiję.
 - Albo ja ciebie.

Nasz ojciec miał wiele kobiet, ale z tego, co mi wiadomo, dzieci zrobił tylko dwóm paniom: matce Bena i mojej, Mary Elizabeth Jones, która dała się omamić temu prymitywnemu kobieciarzowi, niebawem umierając na powikłane zapalenie płuc, co zbiegło się dziwnie z faktem, iż matka Bena została zamordowana przez swego kochanka podczas pijackiej kłótni w przyczepie kempingowej, gdzie mieszkali i całe dni trawili na picciu i prostackim seksie.

Wtedy nasz ojciec jakimś dziwnym trafem zabrał nas do siebie i tak już pozostało.

Dorastaliśmy we wspólnym pokoju, bijąc się codziennie o wszystko: albo on zawinił, albo ja, ale prawda była taka, że nie po drodze nam było ze sobą, i wcześniej lub później ten wrzód musiał pęknąć.

- Twoja matka była dziwką – powiedział kiedyś tak lekko, jak opowiada się płytki żart.

Jego oczy były jak mozaika, ułożona z plugawych, przeklętych punkcików.

Igrały w moich niepokojącym blaskiem, jakbym patrzył w zatrutą toń jeziora, które wyłoniło się ze złego snu i teraz jest częścią teraźniejszości i mami przekłętą poświatą.

- A ja myślałem, że twoja, fajansie – odparowałem i zaśmiałem się, bo niestety znałem upodobania mojej mamy do mężczyzn oraz brak hamulców w sferze erotycznej, toteż niespecjalnie obrażałem się za prawdę – w tym byłem zawsze o krok przed nim.

On uważał matkę za świętą, podczas gdy miał ją niejeden facet w naszym mieście i dla nikogo nie było to żadną tajemnicą – mamusia lubiła ostrą jazdę bez trzymanki.

- Marzę o chwili, kiedy będę pluć na twój grób – wysapał.
- Powodzenia.

Ojciec tuż przed śmiercią wysłał nas na różne uniwersytety: mnie do Ohio, jego do Maine, pewnie

dlatego, żebyśmy się w końcu nie pozabijali, bo sytuacja stawała się groźna. Kiedy pewnej nocy, po uciechach z dwiema panienkami stanęło jego serce, zadzwoniła do mnie z rana ciotka, że za tydzień pogrzeb, i dodała, że ktoś musi teraz mieszkać w tak wielkim domu, dbać o niego, pielęgnować trawnik i regularnie czyścić basen. Ona jest już stara, nie ma dzieci, bo zginęły w Wietnamie, i czas na męską decyzję. Gdyby małżonek, który na plaży Omaha smażył Szkopów miotaczem ognia nagle ożył, pewnie nie byłoby tematu, ale oni nigdy nie wracają, więc w rękach żywych był los świata.

Przerwałem studia, wróciłem i zostałem rybakiem.

Niespodziewanie odnalazłem się w najprostszych przyjemnościach tego świata.

Każdego dnia przechadzałem się po ponad dwustumetrowym domu i myślałem, skąd stary miał kasę, by wybudować coś takiego, a poza tym, po co człowiekowi taki zbytek.

Ludzie różnie o nim gadali, że miał szemrane konszachty z samym Jimmy'm Pacone, ojcem chrzestnym tego regionu, inni, że lizał jaja policji i razem handlowali amfetaminą, którą zdobywali podczas nalotów na drobnych cwaniaczków, tyle że czesali prawie cały stan, stąd ich dochody szły w miliony, a że ręka rękę myje, ojcu nigdy nie spadł włos z głowy.

Kiedy jego adwokat uświadomił mnie o stanie kont, opadła mi szczęka.

Już wiedziałem, że pracę rybaka mogę potraktować czysto hobbistycznie.

I miast łowić sieciami rybę na sprzedaż, rekreacyjnie wędkowałem i wieczorem smażyłem, popijając zimnym, markowym piwem w poczuciu spełnienia, że praca nie dla mnie, już dnia w życiu nie przepracuję, bo nie muszę, pozostawię to tym, którym nie udało się ustawić.

Lubiłem chodzić do nocnych klubów, ale skutki były gorzej niżli mierne – dziewczyny wiedziały już, że jestem przy kasie i leciały na mnie jak muchy na świeże gówno.

Romantykiem człowiek się rodzi i chyba mnie to właśnie dotknęło.

Wychodząc z domu liczyłem, że właśnie dziś spotkam moja jedyną.

Za każdym razem scenariusz był ten sam – romantyzm to nie była dobra rzecz na te czasy.

Moje wypadki kończyły się totalną porażką i wracałem z powrotem do domu z poczuciem zmarnowanego czasu i czegoś jeszcze: pewności, że bogaci są przystojniejsi, a ten stan rzeczy wcale mnie nie bawił, bo nie byłem już szczawiem, a chciałem poznać kogoś na zasadzie czystości uczuć.

Jedno spojrzenie, jeden gest, jedno słowo.

Takie to trudne?

Pewnego lata, chyba było to w 1965 roku, Ben wrócił na stare śmiecie ze studiów.

Nie przyjechał sam – przywiózł ze sobą Clarise, soczystą blondynkę, o wydatnych ustach i powłóczystym spojrzeniu mogącym każdego mężczyznę przyprawić o ostre drżenie, i oświadczył mi bez zbędnych ceregieli, że z nami zamieszka, bo jest jego kobietą.

Jako dobry adwokat natychmiast założył sprawę o podział majątku, ale jako że wola ojca nie przewidywała podziału, miał z tym nielichy problem.

Ojciec zaznaczył, że bracia mają mieszkać razem pod jednym dachem.

Pamiętał naszą nienawiść, i nawet „stamtąd” chciał jakoś zażegnać ten przykry problem.

Byliśmy jeszcze młodzi, ale nie na tyle, by być głupcami.

On jednak przekroczył tę cienką granicę, poza którą nie jest się już mężczyzną.

Kiedy uderzył ją pierwszy raz, przybiegła do mojego pokoju, przerażona jak małe zwierzątko, któremu ktoś dał mocno kijem i na koniec solidnie kopnął.

- Co, Clarise? Co się stało?

- On chciał nie po bożemu.
 - I uderzył cię?
 - Tak. Trzy razy. I powiedział, że jak się poskarżę, to pożałuję.
 - Tak mówi człowiek po studiach?
 - Wiem, co słyszałam. On nie żartuje.
 - A gdzie on teraz jest?
 - W naszym pokoju, pije whisky i śmieje się do siebie.
 - Pójdę tam.
 - Nie chodź. On ma bardzo złe spojrzenie.
 - Jednak tam zajrzę.
 - Nie. Błagam.
 - Dobrze, ale jeśli jeszcze raz powiesz to, już mnie nie powstrzymasz.
- Wtedy Ben pojawił się na schodach, miał w ręku nóż.
Zszedł powoli, po czym podszedł do mnie i zapytał:
- Coś ci się nie podoba, kochaniutki?
 - Ty, kundlu – rzuciłem natychmiast.
 - To popatrz, jak smakuje brat – i mówiąc to, przeciągnął nożem po mojej twarzy.
 - Dość! – krzyknęła Clarise i odepchnęła go.
- Upadł ciężko na podłogę i zaśmiał się ochryple.

Życie potrafi dać solidnego kopa, kiedy się tego najmniej spodziewamy.
Powstrzymało go, a mianowicie śmiertelna choroba, co przyszła jak złodziej.
Któregoś dnia, szarego jak twarz sprzedawcy jabłek o siódmej nad ranem, usłyszał, że ma szansę na przeżycie, jeśli znajdzie się dawca nerki, o określonej grupie krwi.
Od lat musiał żyć z jedną nerką i ta teraz odmówiła posłuszeństwa.
Ta dziwna pani o nazwie „śmierć” już pukała do jego drzwi i chętna była pocałować na wieki.
Wyjechał do innego stanu, ale tam nerka okazała się pomyłką – wrócił więc i pił na umór.
Spojrzałem w jego oczy: były jak trupia mozaika, ułożona z cmentarnych medalionów.
Nie było tu już beczelnej pewności siebie – w to miejsce weszło coś na kształt lęku.
We wtorek wsiadł do samolotu i poleciał bardzo daleko, bo tam była nadzieja.

- Jestem taka samotna – szeptała, kiedy całowałem jej chłodne usta. – Kochaj mnie, daj mi to tej nocy, proszę, Mike, tak bardzo mi tego potrzeba.
- Nigdy nie zapomnę tej czulej ciszy, tych magicznych minut, gdy mokre prześcieradło znaczyło szlak naszej namiętności, bo dała mi siebie jak żadna inna, wtedy, kiedy i ja czułem, że tych chwil już nic nie powtórzy, że zachowamy je, dopóki trwać będzie pamięć.
- Że tak już nigdy nie będzie, bo tej minuty już nie powtórzy życie, owszem, da inne, może lepsze, ale już nie takie, tej intensywności próżno później szukać, tak to zwykle bywa.
- W sekundach takiej desperacji rodzi się największa namiętność: poczuliśmy ją i długo potem nie mogliśmy jeszcze uspokoić się, bo wrażenie było zbyt silne.
- Dlaczego ty jesteś taki delikatny, a on był taki... hm, no nie wiem, zwierzęcy?
- Mieliliśmy różne matki, może dlatego. Zadajesz trudne pytania.

Ben regularnie dzwonił, a ona mówiła, że go kocha i czeka na jego szczęśliwy przeszczep.
Mówił cichym głosem, jak ktoś, kto gaśnie.
Że póki co szanse na zabieg są nikłe, ale on ma nadzieję, że pewnego dnia...
Wtedy dostał ten telefon i jego reakcja była chłodna, może myślał tylko o sobie, może będąc już jedną

nogą na tamtym świecie, niewiele przyjmowało do siebie: Clarise wylądowała w szpitalu, i dość szybko okazało się, że poroniła, lecz nie to miało być najgorszą z prawd: ta ciąża była pierwszą i ostatnią. To ja byłem jedyną osobą, która się z nią spotkała, i to ja usłyszałem to, co ona miała do powiedzenia:

- To nasze dziecko, ono było nasze, Mike – płakała, i widziałem, że nie dba o to, jak to zostanie odebrane.
- On tak bardzo chciał mieć dzieci, nie mógł, a my, tak łatwo... O adopcji nie chciał słyszeć. Nie chciał wychowywać cudzego bachora, jak mawiał. Nie mogę mu powiedzieć o nas. To by go zabiło, albo ciebie. Niech wierzy, że było nasze. Przecież byłem z wami prawie jednocześnie. On się nigdy nie domyśli. A ty, ty mu nie powiesz, prawda?
- Tak – powiedziałem tak twardo, jakbym chciał kogoś wdeptać w ziemię.
- Wiesz, można pokochać dwóch mężczyzn w tym samym czasie.
- Skąd to wiesz?
- Jeśli wróci do mnie, zostanę z nim, ale nigdy nie zapomnę ciebie.
- A pomyślałaś, co ja czułem?
- Domyślałam się, że ci na mnie zależy, że jeśli Ben umrze, zostaniesz ze mną.
- Bo tak miało być.
- Zrobiłabym to. Dla nas, dlatego, że mogłabym cię pokochać.
- A co, jeśli Ben przeżyje?
- Wtedy może coś się zmieni. Coś w naszym życiu, coś w nas. Może to, co było podłe, odejdzie i pojawi się słońce po burzy. Nie wiem, ale wierzę, że czas czyni cuda.
- On zawsze był bydlakiem.
- Wiem, i najgorsze jest to, że takie kobiety jak ja wiążą się z takimi. To jak plus i minus. Ich siła daje nam coś, czego nie mamy. I nigdy nie powiem, co w tym jest, że to jest tak silne. Jak to jest, że coś nieakceptowanego staje się z biegiem czasu normą.
- Więc my nigdy nie mielibyśmy szans?
- Chyba nie. Ty dawałaś mi czułość, on bezpieczeństwo. Ty spacer pod chmurami, on konkretną rzeczywistość.
- Nie pytam, co wybierasz.
- Nie da się połączyć wody i oleju. Coś trzeba wybrać.
- A jeśli nie znajdzie się dawca?
- On umrze.
- I co wtedy?
- Będziemy razem. Kochasz mnie?
- Tak.
- Więc już wiesz.
- Zrobisz to tak lekko?
- Lekko?
- Widzę, że zaakceptujesz każdą opcję.
- Kocham was, ot co.
- Czyli po prostu czekasz?
- Chyba inaczej się nie da.

W naszym życiu niewiele się zmieniło: Ben często dzwonił z innego stanu, gdzie oczekiwał na nerkę, a my z Clarise mieliśmy swoje małe niebo, i wtedy postanowiliśmy, że dopóki on żyje, nie będziemy ze sobą spać, wystarczą pocałunki, czułość i cała ta magia kochania.

Nie potrafiliśmy przyznać się przed sobą, że poronienie mogło być karą za cudzołóstwo, mocnym ostrzeżeniem, by nie iść tą drogą, że nie można budować szczęścia na czyimś nieszczęściu, bo to zawsze uderzy

w człowieka i zniweczy wszystkie jego plany.

Często słuchałem ich rozmów i coś zaczynało układać się w głowie, coś nowego, czego dotąd we mnie nie było – nagle odkryłem, że na moich oczach coś się zmienia, powoli, ale pewnie.

Jego głos był coraz cichszy i momentami wręcz drżący, gdzieś jakby po drodze przepadła owa hardość, która przez lata doprowadzała mnie do szewskiej pasji, wyglądało na to, że wrodzona złość wypalała się z wolna, a na jej miejsce pojawił się zwyczajny spokój, lub też nieme pogodzenie z losem.

Bowiem nie było pewności, czy znajdzie się odpowiedni dawca narządu, jako że Ben posiadał wyjątkowo rzadką grupę krwi, co skutecznie utrudniało całą operację i nie dawało wielkiej nadziei, że pewnego dnia ktoś właściwy pojawi się i mój brat znów wróci do zdrowia.

Bo czy miałem jakiegokolwiek prawo zabraniać jej kochać męża?

Trwać przy nim do samego końca?

On nie chciał odwiedzin, ale ciągle dzwonił, wybrał taki z nią kontakt.

Nie każdy pragnie, by patrzono na jego cierpienie i taki był właśnie mój brat.

Czy mogłem powiedzieć mu prawdę, że kocham Clarise, jak nie kochałem nikogo w całym życiu i marzyłem, by się z nią zestarzeć?

Wiedziałem, że gdyby zamieniono role i to ja znalazłbym się na jego miejscu, on z pewnością nie okazałby mi bodaj nikłego zainteresowania, znając jego stosunek do mojej osoby.

Ale to w tamtej chwili mało mnie obchodziło, ciągle czekałem na dobry przełom.

I mogłem przyznać się przed samym sobą, że nawet przez sekundę nie życzyłem mu śmierci.

Tylko spojrzenie w lustro i długa blizna po nożu przypominała mi dawnego „wroga”.

Gdy pewnego razu znów zadzwonił, akurat oglądaliśmy z Clarise telewizję.

Słyszałem jej odpowiedzi: *”Ja ciebie też... wiesz, że wierzę, że się uda... tylko ty, nikt inny... nie wyobrażam sobie życia bez... będę przy tobie... nie potrzeba słów, by...”*

Rozmawiali bardzo długo i nagle stała się przedziwna rzecz: Ben poprosił mnie do telefonu.

To był pierwszy raz i miał być ostatnim.

- Cześć, Mike, wciąż nie ma nikogo – jęknął.

- Bądź cierpliwy, czasem trzeba czekać miesiącami, i mieć wiarę.

- Moja wiara jest już na wyczerpaniu. Wiesz, że nie ma dnia, bym Go nie prosił, ja, który omijałem kościół szerokim łukiem. Błagam Go, by mnie stąd nie zabierał. By mi wybaczył.

- Co?

- Ty wiesz, obaj wiemy.

- Bóg działa poprzez ludzi. Pewnie pojawi się ktoś na twojej drodze.

- Czekam na to bardzo, nie ma słów, jakie wyraziłyby, jak strasznie chcę żyć. Zacząć wszystko od nowa. To nie jest rozmowa na telefon. Trzymaj za mnie kciuki, Mike – zakończył, po czym poprosił Clarise, by jeszcze z nim porozmawiała.

Potem postanowiłem wyjechać na jakiś czas – powiedziałem jej, że objadę całą naszą rodzinę, rozsianą po Stanach, może uda się znaleźć kogoś, kto odda Benowi nerkę.

Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w drogę.

Długo mnie nie było, i postanowiłem, że póki co nie będę do niej dzwonił.

Gdy nadeszła odpowiednia pora, sięgnąłem po telefon.

W słuchawce rozradowany głos Clarise powiedział, że jest już po wszystkim – Ben wrócił do domu, zna-

laż się właściwy dawca, lecz zastrzegł sobie anonimowość.

Jednak mówiła, że mój brat obiecał sobie za wszelką cenę dotrzeć do tego człowieka, choćby miał go szukać na końcu świata i uparł się, by wynagrodzić go ogromną sumą.

Kiedy już byłem z nimi i spojrzałem w jego niebieskie oczy, ujrzałem tam spokój i radość.

Jawiły się jak przepiękna, błękitna mozaika, ułożona ze skrawków nieba i lazuru morza.

Teraz patrzyłem na kogoś innego: dawnego Bena już nie było, tamto odeszło raz na zawsze.

Pojąłem, że w Dobro warto wierzyć, ono objawia się nagle i spontanicznie.

Siedzieli obok siebie na kanapie i trzymali się za ręce jak para zakochanych nastolatków.

Ich widok mógł wywołać uśmiech na twarzy i coś, co nazwałbym poczuciem szczęścia.

- Byłem po drugiej stronie tęczy, ale wróciłem, wróciłem na dobre. Wiesz, Mike, ja i Clarise postanowiliśmy adoptować dziewczynkę. Z dziewczynkami podobno jest łatwiej. Chcemy być szczęśliwą rodziną. Wiemy, czym jest kochanie, czym jest bliskość i że trzeba się tym cieszyć do ostatniego tchnienia. Chcemy, by nasze życie było spełnione. By niczego w nim nie zabrakło. Bo bez tego nic nie ma sensu. A bycie ojcem – czyż to nie piękna przygoda?

- Świetny pomysł, bracie, teraz wszyscy zaczniemy życie na nowo.

- Wszyscy? Tobie przecież niczego nie brak, no może żony – rzekł Ben.

- Jak wiesz, stary zostawił nam na kontach majątek. Sporo kasy, której nie wydamy za naszego życia. Właśnie kupiłem piękny dom nad samym morzem, godzinę drogi stąd.

Nie mogę już dłużej tu mieszkać. Coś się kończy, coś zaczyna. Trudno mi to teraz wytłumaczyć, ale na mnie już czas.

- Zostaniesz na obiedzie? – spytała Clarise.

- Jasne. Miałeś szczęście, Ben, jednak twój Bóg cię wysłuchał.

- Mam pewien plan, ale o tym powiem wam przy innej okazji – rzekł tajemniczo mój brat.

Potem rozmawialiśmy jeszcze długo o wszystkim i niczym, a ja w duchu cieszyłem się, że odzyskałem go, i w ciągu kilku godzin to, co było między nami kiedyś, odeszło w niepamięć.

Teraz miałem brata, którego nie posiadałem przez te wszystkie podłe lata.

Teraz miałem w nim kogoś bliskiego, i czułem, że w niedoli podałyby mi rękę.

Z radością patrzyłem na to „zmartwychwstanie” i dziękowałem Bogu za szczęśliwą zmianę.

I wiedziałem też, że ich miłość jest ważniejsza niż to, co czułem do jego żony.

O tym musiałem zapomnieć na zawsze, jakby między nami nic się nie wydarzyło.

Jakby była tylko słodkim snem, który mi się kiedyś przyśnił.

Po jakimś czasie przyjechała do mnie i natychmiast zauważyłem, że płakała.

Miała podkrążone oczy, jakby od tygodni nie spała.

Kiedy już usiedliśmy w jadalni, odezwała się:

- Masz magnetofon?

- Tak, zaraz przyniosę. A co się stało?

- Chcę, byś wysłuchał pewną kasetę. Nagrał ją, by mieć dowód i pamiątkę.

Znajdowała się na niej rozmowa, którą w tajemnicy nagrał mój brat.

Brzmiała dokładnie tak:

- *Panie ordynatorze, ja naprawdę muszę wiedzieć, kto to był.*

- *Ten pan zastrzegł sobie anonimowość. Muszę uszanować jego wolę.*
- *Bardzo proszę.*
- *Muszę panu odmówić.*
- *A jeśli...*
- *Co ma pan na myśli?*
- *Jeśli przeznaczę sporą sumę na szpital, powie mi pan prawdę? Chcę go odnaleźć i mu podziękować. Bez tego nie zaznam spokoju. Proszę mnie zrozumieć.*
- *O jakiej kwocie pan myśli?*
- *Dwieście tysięcy dolarów.*
- *To człowiek z długą blizną na policzku. Czy mam mówić dalej?*
- *O Boże...*
- *Czy coś się stało?*
- *Niech pan nie kończy. Nie trzeba. Zaraz wypiszę czek...*
- *Czy poczuł się pan szczęśliwszy?*
- *Teraz już wiem, co mam zrobić, teraz już wiem wszystko.*

Cykl: Dziewięć liter, dwa słowa, jedno znaczenie

17 lipca 2016

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 10.10.2016 05:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.